ROZMAITOŚCI.

Dnia 7 sierpnia, Ner 32. roku 1847.

SKAŁA St. ONUFREGO.

CZYLI:

KRONIKA SZLACHECKIEGO DWORKU.

W jesiennéj porze lata pańskiego 1720 (w którym to roku, jak nam pisze Chmielowski *), chmiel dopisał i sady obrodziły) po przechadzce pod jabłoniami w ogrodzie, wracał do swojéj stancyi pan Gierchlacki, szlachcic na respekcie bawiący na dworze pana chorążego. Szedł podwójnym krokiem, obiema rękami podtrzymywał kieszenie u kapoty, oglądając się dokoła; wstąpił do sieni, po schodach wbiegł do izby na baszcie. Izba, w któréj zamieszkiwał, była widna, w trzech ścianach miała okna; w rogu stało łoże kilimkiem nakryte, nad łożem na ścianie wisiała passyja z relikwijami i napierśnik z Matką Częstochowską, zabytek tych czasów, kiedy Gierchlacki szablą jeszcze wywijał; przy łożu stolik, na nim herbarz, ołtarz złoty, okulary i klapka na muchy.

Pan rezydent wstąpiwszy do izby, wziął się do roboty, wyciągane z kieszeni jabłka, z rosy otarte, jął układać w kufrze na zimowe ich leże.

Jeszcze nie wypróżnił był kieszeni, kiedy we drzwi jego ktoś zapukał; zmieszany jak ten, którego na licu łapią, co rychléj przymknął kufer i do drzwi bieżał. W progu pokazał się Żyd, z długą i rudą brodą.

Gierchlacki poznawszy arendarza, wyprostował swoję personę, i jak przystało, napuszył.

„Cóż tam słychać? co mi wasze powiész?” zapytał się wchodzącego.

„Ja go tylko przychodzi do pana rotmistrza z komplementem,” odrzekł brodacz skłaniając się czapką do kolan „pan wielmożny sam?” i obejrzał się dokoła Żyd i postąpiwszy krokiem, położył na stole jakąś paczkę obwiniętą w bibułę.

„Hm” zaczął pomrukiwać Gierchlacki, tytuł rotmistrza i widoki prezentu wprawiły go w dobry humor „Ale bo (ciągnął daléj) ja tego nie potrzebuję, toto może jaki prezent!”

*) Autor dzieła: Nowe Ateny.

„Proszę pana rotmistrza, na półtora funta rozynków; przyda się w. panu na suchedni”

„Chyba że to, bo co innego, jabym nie przyjął, ale wasze coś tam jeszcze trzymasz pod pachą!”

Na to zagadnięcie Żyd położył na stole wałek sukna. Gierchlacki jak zwyczajnie ciekawy, nie mógł nie przypatrzyć się gatunkowi; ujął w rękę koniec sukna, zaczął rozważać, sądzić o wartości sukna.

„Niczego gatunek” zagadał „kolor nieplamisty wcale; a wiele łokci będzie w tym kawałku?”

„Ny, co go potrzeba na żupan bez fałszu dla pana rotmistrza” odpowiedział Żyd z pokłonem.

Gierchlacki zaambarasowany, nie wiedział co rzéc na to; Żyd swoim przenikliwym wzrokiem zaglądał do jego duszy, a tam dojrzał chciwość, która zaczynała przełamywać dumę serca Po chwili Gierchlacki przystąpił do arendarza, i po niejakiem wahaniu się, zcicha-zajękającym się głosem, tak zagadał do niego:

„Mości arendarzu, już-to ja domyślam się; masz jakiś interes do mnie, jeżeli to odemnie zależéć będzie, dołożę starania; u pana chorążego mam łaskę, mam fawor.”

„Ny, kiedy go mam słowo w. pana (odrzekł zagadnięty) to go wnoszę instancyję za jednym biedakiem, boto przecie krew pańska, boto go przecie rodzony szwagier naszego dziedzica.”

„O kimżeto wasze mówisz? (zagadał Gierchlacki) ja sobie nie przypominam? może o tym Serafinie, podczaszycu, bracie nieboszki pani? żyjeż jeszcze ten syn marnotrawny? a gdzież się teraz obraca?”

„Ny, gdzie on się nie naobracał po świecie (odrzekł Żyd) a teraz, gdzie ma być? wrócił do swojéj familii.”

„Serafin powrócił, jest tu? ho mosanie! (dodał Gierchlacki) nie upiecze on tu swojéj gąski. Stracił, przepił, przehulał swoję fortunę, a co wstydu narobił całéj familii, Ba, jeszcze czego brakowało!”

„Ny, (zaczął odpowiadać arendarz) jakto pan rotmistrz dobrze gada, na co on go tracił? na co on hulał? Ny, gdyby on nie tracił, nie marnotra-

wił, dzisiaj pan rotmistrz byłby się jemu nizko kłaniał.»

„Co? jabym się kłaniał temu urwiszowi?” oburzył się rezydent.

»A teraz (kontynował Żyd) ny, to pan Serafin kłania się bardzo nizko pann rotmistrzowi; pan Serafin, to przecież ślachcic z dziada, pradziada; podupadł trochę, no to prawda, ale on go zawsze szwagier pana chorążego; ja go proszę za panem Serafinem, w. pan niech tylko jedno dobre słówko włoży w ucho panu dziedzicowi.»

„Co? ja mam wnosić instancyję za tym utracjuszem, co to świętego grosza poszanować nie umiał, nie, tego się nie podejmuję.”

„Ja go pana rotmistrza pięknie prosim.”

„Nie, nie podejmę się tego,” powtórzył Gierchlacki dobitnym akcentem.

Żyd zaczął dumać, powoli odpinał guziki swojéj kapoty i wyciągnął z kieszeni sygnet; błysło złoto, zajaśniał krwawnik, zarumieniły się policzki ślachcica, zaczęło mięknąć serce. W téj chwili dało się słyszéć stąpanie po schodach. Gierchlacki zbladł, podarunki schował pod podnszkę, Żyd odstąpił od niego, stanął jak przykuty do ściany. W tém otworzyły się drzwi. Stanisław, dwunastoletni syn chorążego, wstąpił do izby. Byłto chłopczyk białéj twarzy; dobroć malowała się w rysach jego oblicza, uśmiéch ożywiał jego rumiane usta. Jasne kędziorki włosa niezgarnięte od czoła, spadały mu na twarz i zasłaniały oczy, w których nie było iskry życia, nie było spojrzenia duszy; — bo Stanisław był ciemnym.

„Pan rotmistrz sam?” zapytał wchodzący.

„Jestem zatrudniony (odrzekł Gierchlacki) mógłbyś mój Stasieńku inną razą...”

„Nie będę przeszkadzał panu rotmistrzowi; przychodzę od tatunia, kazał powiedziéć, że po obiedzie wybieramy się na nieszpory, bo dzisiaj jest wilia Matki boskiéj.”

„Na śmierć zapomniałem!” krzyknął Gierchlacki.

»Pójdziemy na nieszpory zaraz po obiedzie — ale u pana rotmistrza pachną jabłka.»

„Co? co? jabłka!” powtórzył zakłopotany rezydent.

»Panie rotmistrzu tu coś cuchnie Żydem.”

„Zdaje ci się jeno mój Stasiu, był tu wprawdzie nasz arendarz, ale—»

„Dobrze że sobie poszedł, bo tych Żydów ja się bardzo boję.»

„Boisz się Żydów? a dla jakiéj racyi, alboż zrobili ci co złego?” zapytał Gierchlacki

»Ja się ich boję, bo oni kradną dzieci, a potém ich męczą.”

„Tak mówią, dawniéj to bywało, ale teraz już tego nie robią; pójdź, sprowadzę cię na dół.»

„Ja zbiegnę sam, ale jeszcze mam coś do p. rotmistrza; pan rotmistrz, obiecał mi przywieźć gościńca z kiermaszu?”

„A prawda, ale ale, mam coś dla ciebie.»

To mówiący Gierchlacki, sięgnął pod poduszkę, nabrał pełną garść rozenków i wysypał na dłoń chłopczykowi.

»Dziękuję panu rotmistrzowi” mówił Stanisław ale to rozynki może żydowskie?

„Jako żywo, kupiłem u katolika” śmiało odparł Gierchlacki i odprowadził chłopaka do sieni, a jak skoro ujrzał go na dole już wchodzącego do izby, wrócił do stancyi i drzwi zaryglował.

Żyd wystąpił na środek izby.

W postaci Żyda, w jego głosię nie było już pokory, nie prosił już o łaskę Gierchlackiego, raczéj traktował z nim jakby z równym sobie.

Przekupiony rezydent został sługą przekupiciela; za rozynki, za sygnet zaprzedał się Żydowi.

»Zobaczymy, może da się to zrobić» mówił głosem powolnym „byle tylko waspan mości arendarzu, mnie nie zdradził.”

„To będzie nasz sekret” odparł Żyd, „jak tylko pan Serafin wkręci się raz do domu, zobaczy jegomość, i jegomości będzie z tém dobrze. Pan Serafin będzie pamiętał. Ten prezent, to tylko zadatek, a co daléj będzie! ny jegomość będzie sobie pływał w szczęściu jak rydz w maśle. No bądź pan zdrów. „Po odejściu Żyda, Gierchlacki przechadzając się po izbie zaczął medytować.

Materyja, nad którą medytował, ważną była. Z jednéj strony pokusa podżegała w nim chciwość, rozwijała długie pasmo spodziewanych korzyści; z drugiéj odbijał się o serce głos sumienia, pchały się do pamięci łaski i dobrodziejstwa, jakie od lat dziesięciu odbierał od chorążego, na którego żył łasce, którego żył chlebem; a teraz miał go podchodzić i podstępnie sprzymierzać się z Żydem naprzeciw dobrodziejowi swojemu. Razem z tą myślą stoczył się ciężki kamień na jego serce, i już namyślał się inaczéj; alić pożądanie zysku ciągnęło go w inną stronę, i długo niepewny, którą iść drogą, kołysał się na rozstajnym. Ale pacierza jego nie wysłuchały niebiosa, był wiedzion na pokuszenie, i nie zbawiony ode złego. Coraz głębiéj w grzesznéj pożądliwości zanurzony, myślą, wolą i uczynkiem nachylał się ku złemu.

Jeszcze dumał Gierchlacki, kiedy na lipie, co rosła przed domem, odezwał się dzwonek. Wedle zwyczaju przyjętego na pańskim dworze, codzień o pół do dwunastéj dzwoniono na piwo; szafarz rozdawał je panom dworskim i oficyjalistom po dzbanku albo kuflu, każdemu wedle godności. — W któréjto chwili wbiegł do izby hajduczek.

„Jużci przychodzę po dzbanek” odrzekł zapytany, bo dzwonią na piwo. »Ale wié jegomość, dzisiaj będzie wino na stole.”

»Wino?» powtórzył rozweselony rezydent, a jakże ty to wiész?»

„Nie mam wiedzieć! kiedy pan szafarz mówił o tém; ale wié jegomość, że pan podstarości, nakupił dużo prochu w sklepie?»

»Prochu?»

„A Grześ rychtuje już moździerze, jak mi Boga trzeba, będą strzélać dzisiaj a głośno, samym prochem; tylko proszę jegomości, nie powiadać nikomu» szepnął hajduk, „bo to sekret; ale wié też jegomość co się stało?»

»Coż takiego?»

„W. pan markotny na jegomości.»

„Na mnie?» zbladł Gierchlacki.

„Wielmożny pan zakazał o tém powiadać jegomości, ażeby jegomość się nie martwił, bo to tak dalece szkody niéma, ale zły prognostyk; kiedy bociany odlecą.»

„Alboż-co? odleciały?»

„Jeszczeby też nie miały odlecieć, kiedy pan Antoni ubił bociana na gnieździe, z téj fuzyi, którą jegomość pozwolił jemu na pół dnia, za tabaczkę, iż jegomości zafondował. Tak dalece niech się jegomość nie frasuje; w. pan nie powié słówka o to; ale biegnę już; pan szafarz nie czeka, kto się spóźni, piwa nie dostanie.»

To rzekłszy chłopiec, porwał dzbanek i wybiegł

Po odejściu chłopaka Gierchlacki długo jeszcze rozmyślał i dumał dopóty, aż posłyszał powtórne dzwonienie na lipie; był to znak kucharza, że na stół pański waza już idzie.

II

Pan Załęża, chorąży sandomierski *), był dziedzicem Dąbrowéj-Woli, wioski leżącéj w Zatorskiéj ziemi. Przyjaciel pokoju, *domator*, nie piął się na urzędy, o starostwa karku nie łamał; uprawiając zagon ojcowski, cichą stopą szedł po równéj drodze życia, i zbliżał się już do kresu, jaki ludziom Bóg naznaczył. Estymowany i kochany miał wziętość, miał i afekt braterski u sąsiedniéj szlachty, od któréj nie rzadko obiérany na *arbitra*, zawikłane sprawy do końca, zawziętych na siebie *adwersarzy* do zgody, szczęśliwie doprowadzał. W niemłodym już wieku zaślubił Słupeckę, podczaszankę sandomirską; zacnych przymiotów, ale zdrowia słabego osobę. Kiedy albowiem odumarli ją rodzice, poddała się smutkowi tak wielkiemu, iż ani perswazyje męża, ani religijna pociecha księdza proboszcza w ciężkim frasunku, który zdrowiu szkodził, zagrażał nawet życiu, uspokoić ją nie mogły. I chociaż przytulił się jéj płacz, pozostało osmutnienie, które przylgnęło do serca, chorowitą bladością twarz powlekło.

*) Urzędy ziemskie w dawnéj Polsce wedle godności stały w tym stosunku: Najstarszy był podkomorzy, po nim starosta sądowy, dalej chorąży, sędzia ziemski, stolnik, podczaszy, podsędek, podstoli, cześnik, łowczy, wojski większy, pisarz ziemski, miecznik, wojski mniejszy, skarbnik.

Chorąży sercem całém przywiązany do żony, nieprzestawał ją pocieszać z każdym dniem - dobrym, objawiał troskliwość, powtarzał swoje pytania o zdrowie.

„Jak wczora» odpowiadała żona „nic mi się nie polepszyło.»

Chorąży pokładał nadzieję w panu Bogu, podawał lekarstwa, ale żona pokazując flaszki z długiemi receptami, co stały w oknie, powtarzała jedno: „Gdyby lekarstwa pomódz mi mogły, byłabym już dawno zdrowa, ale moim lekarzem będzie podobno śmierć, ona zakończy moje cierpienia.»

Jednego poobiednia (było to przed 15tu laty) pan Załęża wracając do domu, stanął u zamkniętych drzwiczek alkierza i zapytał: „Czy wolno?„ Na posłyszane przemówienie »Proszę jegomości» cichym krokiem wstąpił do gabineciku.

Był to mały pokoik, malowany owczesną modą w drzewa wyrastające z podłogi aż po płócienny sufit; te malowane ogrody były pełne żółtych jabłek i niebieskich ptaszków, siedzących po gałązkach.

Światło przyćmione, zapuszczone kotarą, skąpo wchodziło do izby; okno było przymknięte, i dokoła każdéj szyby wylepione papiérowémi listwami, niewpuszczało świéżego powietrza; ale co rana wykadzano izdebkę suchémi skórkami z jabłek, niekiedy octem, polaném na rozpalone żelazo.

»Proszę jegomości usiąść tu przy mnie» przemówiła naonczas małżonka, robiąc miejsce na cycowéj kanapie, gdzie siedziała, nóżki opiérając na taboreciku.

„Właśnie miałam się zapytać, czy też jegomość będzie taki dobry, i uczyni to, o co prosić będę.»

„Najchętniéj wszystko co zażądasz» odrzekł mąż.

»Czy też zna jegomość tę skałę w lesie»— mówiła daléj, »gdzie stoi statua St. Onufrego.»

»Mówisz kochasiu o téj figurze kamiennéj na wysokiéj skale; byłem tam niedawno temu, i gdyby nie gajowy, co mnie chwycił za połę, byłoby źle ze mną, powinęła mi się noga, i o włos żem się nie potoczył, a byłbym i nadłamał karku; niebezpieczne to miejsce, skała wysoka, a pod nią przepaść okropna.»

»Jaki jegomość nie dobry, że też nic mi o tém nie powiedział» przemówiła zatrwożona małżonka.

„Nie chciałem cię przestraszać relacyją tego zdarzenia. Aleśmy odbiegli od rzeczy, jakież twoje żądanie? powiedz moje życie.»

Pani skarbnikowa (pan Załęża onémi czasy był jeszcze skarbnikiem) dowiedziała się z powieści, że pod skałą śgo Onufrego jest źródło, w którém woda na oczy zbawienna, powtórzywszy to mężowi,

prosiła go, aby dojechał do téj krynicy i przywiózł jéj dzbanek téj cudownéj wody.

»Na sługę spuścić się nie można» — dodała, „bo ktoż mnie zapewni? ktoż mnie przekona, że woda którą mi przyniesie, nie naczerpał w innéj studni; choćby się zaklinał, choćby ręce składał, nie uwierzę żadnemu; jegomości jednemu dam wiarę. Jegomość będzie taki dobry i to, o co go proszę zrobi: zapadam na oczy coraz więcéj; może i niedokończę téj alby, com zaczęła do kościoła kobylańskiego, szkodaby było tego jedwabiu co jegomość nakupił.”

Chorąży zaspokoił małżonkę, zapewnił że wypełni jéj żądanie, i to zaraz nazajutrz.

Nazajutrz tedy, w czas pogodny, o rannéj godzinie wyprowadzono przed ganek osiodłanego konia, pan Załęża puścił się w drogę: hajduk jako miejscowy człowiek służył panu za przewodnika. Przebywszy wioskę, chorąży zwrócił się na drożynę, która wiodła go w coraz dziksze, lasami zarosłe okolice — Po dwugodzinnéj jeździe, ujrzał się pan Załęża w cichéj dolinie, ze trzech stron otoczonéj lasem, z czwartéj pięła się w górę skała na kilka sążni wysoka, na któréj wierzchołku widać było kamienną figurę śgo Onufrego.

W pobliżkości od skały w nizinie stał pniak wydrążony, z niego wylewał się strumyczek zimny i czysty jako łza; płynąc murawą łączył się z potokiem, z dalszych gór płynącym. Pan Załęża naczerpał już był wody z cudownego źródła, już na konia wsiadać miał, kiedy z lasu uderzyły jakieś okrzyki i wołania, i wraz wysunął się z gęstwiny tłum Cyganów i Cyganek, z tłuszczy wystąpił na czoło starszy Cygan, wrzasnął do zgrai, ta odstąpiła: poczém do pana dziedzica przystąpiwszy, przemówił:

»Witamy jaśnie oświéconego senatora, dziedzica naszego, witamy u siebie, jestem ojcem téj dziatwy, wójtem gromady. Prosimy pokornie jaśnie oświéconego senatora dla biednéj położnicy o wspomożenie.”

»Jaśnie oświécony (wołać zaczęła druga Cyganka) dziedzicu! senatorze! matka Cyganka uczyła wróżyć; za piętaka wywróżę; podarujcie piętaka! podarujcie!” Ale pan Załęża miasto odpowiedzi, krzyknął na hajduka: „Spędź mi z drogi tę hołotę.” Skoczył hajduk, Cygaństwo w nogi, alić spędzone z jednéj strony, tłumem liczniejszym jeszcze wybiegło z drugiéj, zastąpiło drogę.

Dziedzic nie widząc się już bezpiecznym w takiém zbiegowisku łotrow, ulitował się nareszcie, i najbliższéj Cygance rzucił jałmużnę. Na spadający pieniądz rzuciła się cygańska gawiedź. Pan wójt wystąpił znowu, zamachem maczugi porozpędzał kobiety i dzieci, i do pana dziedzica się zbliżając, poprosił go, ażeby wróżce powróżyć dozwolił. Przypomnieć tu wypada, iż to się działo w czasach wiary w wróżby, w czarownice i w kabały, a takowa wiara była do tyla ugruntowaną w umyśle i sercu ludzi owoczesnych, że jedni w téj wierze męczyli ludzi i topili, drudzy dali się topić i męczyć.

Nasz dziedzic po niejakim wahaniu się, wystawił w końcu rekę Cygance wróżce Ta rzuciła okiem na rękę, jęła liczyć kréski, kiwać głową, coś mruczéć i szeptać.

„Jasny pan ma frasunku wielką moc» — wróżyła Cyganka.

»Od prawego idzie kréska, wiém co znaczy, to kołyska.”

Pan Załęża słysząc te słowa; osłupiał.

»Aj, aj,” wróżyła daléj Cyganka oglądając rękę.

„Cóż takiego widzisz znown?” zapytał dziedzic.

»Młody dziedziczek ujrzy świat!”—rzekła Cyganka.

„Gadajże wyraźnie głupia Cyganko!

»Ujrzy świat, ale w lesie, w gęstym lesie, a Cyganka tulić będzie biedne dziecię— i utuli i powije.”

Na te słowa pan Załęża odtrącił Cygankę od siebie, a dosiadłszy konia wracał do domu, powracał z dzbankiem wody i duszą pełną myśli dziwnych, wesołych i smutnych razem.

Przepowiednia Cyganki zaczynała się spełniać w jednéj części; po upływie kilku miesięcy, dziedziczka była w błogosławionym stanie, a nie upłynął rok cały, w kolébce zakwilił spowity synek. Wielka była radość pana Dąbrowskiéj-woli, alić niedługo ta radość ustąpiła miejsca smutkowi, uciecha żałobie.

Maleńki, którego Stanisławem ochrzczono, przyszedł na świat niewidzący, a matka w ciężką zapadłszy chorobę, pomimo starań lekarzy, przeniosła się do wieczności; dziécię kalékę zostawując sierotą, męża w nieutulonym smutku.

Wtenczasto zdarzył się następujący wypadek: Kiedy po złożeniu ciała chorążyny do grobu, księża i świeccy goście zasiedli do żałobnéj uczty *stypą* zwanéj, w środku onéj przypędził do dworu pan Serafin; brat nieboszki Z hukiem i trzaskiem wpadając do sali, takim nieobyczajem a więcéj jeszcze widokiem swojéj osoby zadziwił wszystkich i obruszył.

Ubrany był albowiem w kurtkę z węgierska, w szarawary hajdamackie, na czubie miał mazurską czapkę, w garści pletnię tatarską, twarz podobnie jak odzież jego była pełna błota, kurzu i brudu. Ledwie co próg przekroczył, już krzykliwym głosem jął łajać czeladzi, a gospodarzowi wymawiać, że na niego ze stypą nie czekał.

Dziwili się jedni temu, drudzy szemrali

Dziedzic acz dotknięty do żywego takim postępkiem pana szwagra, wyszedł naprzeciw niemu, i łagodném słowem przemówił do niego:

»Panie bracie, boleję na to, że nie w czas przy-

bywasz; drogą sercu małżonkę poniosłem do grobu. *Dimidium animae meae* straciłem; pogrzebałem przyjaciela, który był *ex toto alter ego*. Taki ciężki dekret spadł z niebios, trzeba się poddać Bogu, *sub potenti* Jego zostając *manu*; poszła Anusia po zapłatę wysług swoich, jako *digna operaria mercede*."

„Każdemu ten koniec" wpadł na to Serafin. „Dziś rydz, jutro nic. Bóg zabrał siostrę ze świata, a waszmościowie mnie zabrali miejsce przy stole, za to ja waściom zadam zagadkę: Które litery w abecadle najcięższe? zgaduj gaduło; oto litery *C. D.* gdy mówię panom *Cede*, ustąpcie miejsca, ciężko wam to przychodzi, a przecie nie chwaląc się mospanie, ja tu pierwszy."

Na posłyszaną mowę taką nieprzystojną powstał w zgromadzeniu głośny szmer:

»Mosanie podczaszycu" ozwał się powtórnie pan Załęża.

„*Ecce* oto poczciwy smutek zgromadził tu łaskawych w. panów i to zacne duchowne grono; wam mosanie Serafinie ten smutek obcy, a zatém proszę ustąp z tego domu, który znieważasz."

»Co" krzyknął na to Serafin »Ja co tylem mil gonił, ażem podpalił szkapę, ja mam odejść z niczém? Hola prysk, jam nie trznadel żaden, ażeby mnie lada czém odstraszyć od jadła; mnie się należy miejsce na stypie mojéj rodzonéj i koniec."

Wtenczasto przebrała się już miara cierpliwości wszystkim; nastał rumor w sali, już i powstawali niektórzy, a za hasłem daném przez jednego, całe zgromadzenie, jakby jednym chorem krzyknęło: F o r a z d w o r a, z a d r z w i z n i m. Serafin zabiérał się do oporu, ale tu podniosły się stołki, jeden z gości chwycił za ławę. Serafin, to widząc salwował się ucieczką; dopadłszy szkapy, wyjechał Po jego odejściu powróciło wszystko do porządku. Zaczęła się toczyć rozmowa o Serafinie, wprowadzona przez ks. dziekana, który jako celebrant piérwsze zajmował miejsce przy stypie.

„Źle wróżyłem o tym Serafinie" mówił dziekan— »żal się Boże, godnego rodzica, niegodny syn; aniś go napędził do książki, a w kościele mój Serafin smyk na chór, że nie było dziada, któryby mu w kalikowaniu prym odebrał."

„Otóż ledwie co zamknął powieki godny pan podczaszy, dłużnicy pana Serafina jakby cze ali na to, wnet rzucili się na majątek ojcowski, rozszarpali pomiędzy siebie rzędy i sprzęty, jako szatę chrystusową żołnierze; a było gotówki; ta poszła na wino, na kostkę, et cetera."

„*Utinam sim falsus vates*, nie wiele wody upłynie, a pan Serafin straci wioskę, i cała fortuna pójdzie z dymem."

Tym tokiem szła rozmowa o Serafinie, ożywiana częstémi kielichy.

Po spełnionych zdrowiach wszystkich obecnych i nieobecnéj nieboszki pani skarbnikowéj, rozjechali się goście, a na dworze skarbnika, było znowu cicho i smutno, jak było w sercu wdowca.

(Dokończenie nastąpi.)

Kilka słów o organizmie mowy.

»Bruta non numerant—a ergo non loquuntur.

Człowiek jedynie przez słowo człowiekiem. Słowo człowiecze słowi sławę słowa stwórcy. — Puszczając myśl w najgłębsze poszukiwanie wszczęcia się słowa człowieczego, organizuje się w myśli to nadsmysłowe, to czysto duchowe pojęcie: że już w myśli i słowie stwórcy, spoczywały myśl i słowo dla człowieka; że jedynie temu człowiek w koniec już stworzonych światów przyszedł, aby mając już z ogółu w swym szczegole wszystko, miał już tém samém, sam w sobie to usamosobione słowo »k t ó r e s t a ł o s i ę c i a ł e m" i mógł już w tém słowie, z tego słowa, mieć możliwość rozbudzenia w sobie myśli w słowo własne do roztworzenia i przetworzenia słowa stworzonego, i wszedłszy słowem swojem w najdalsze i najgłębsze przestwory światów bez końca, mógł im przez znanie i uznanie swoje, dać imię i znaczenie.— — —

Czyniąc sobie zapytanie »co jest organizm?" mamy już w samém zapytaniu jakieś zadanie i jakiś zaród odpowiedzi; mamy już zdanie w zadaniu. A że to, o co pytamy jest już jakąś rzeczą, a rzecz ma już jakieś imię, które nie może się obejść bez słowa — bo samo imię jest już słowem, a w słowie jest już jakaś treść rzeczy, którę człowiek jak znał i czuł, tak w słowo z n a-c z y ł—, więc poznawszy słowo, które z jakiegoś uczucia i znania, z jakiegoś pojęcia rzeczy — na oko lub ucho — wyrazem stanęło; poznamy i rzecz, o którą się pytamy, i poznamy jéj organizm, którym się w byt zestroiła.

Tak idąc, póidziem przez wywód od słowa do rzeczy, od *a priori* do *a posteriori*, pójdziem od jednéj kłódki do drugiéj, i na téj drodze znajdziem klucz, którym się rzecz w słowie duchowo, a w wyrazie cieleśnie, bądź znakiem głosu, bądź znakiem pisma, zamknęła.

Wszystkie rzeczy świata genetycznego, smysłowo-organicznego w dnie swojém, są to pierwki, zera, ziarna, samki, które same się przez się w samość swoje siłą swoją zamknęły, i same się przez się w objawę bytu klując, dały nam klucz do odemknięcia ich siedzib, ich sił pracowni.

Z istoty możliwości poznawania człowieczego, wynika ta pewność: że treść rzeczy, jest treścią dla smysłów, treść smysłów, treścią dla myśli, treść myśli, treścią dla słowa, a treść słowa, tre-

ścią dla wyrazu i odwrotnie: w wyrazie słowo, w słowie myśl, a w myśli przez smysły dana, i myślą smyślona i upojętniona, treść rzeczy. W słowie pojęcie, w pojęciu zdanie, w zdaniu sąd, a z tego wszystkiego przez organizacyją sił duchowych, rozsad myśli i mowy. — Słowo żyjące, zorganizowało się i wydobyło głośno razem i z czucia i myśli; rozum je rozróżnił znaniem swojém w liczne przymiotowe znaki.

Poznawszy, że się jedno drugiém polarnie przez same differencyje nicuje i z jednego sadu rozsadza, poznajemy: że organizm jestto siła, która sama się w sobie, w jednocie swojéj, środkiem własnym wewnątrz, przez jakąś przyczynność zewnątrz, z życia ogólnego w życie szczególne przebndza, i tym życia pulsem, w ruch życia rozmaga, rozduża, rozprzecza, rozwieła, rozwładnia, i do-piéro wtedy, gdy czas, na tę siłę istnienia na-pié-ra, jednémże czuciem, w jednymże czasie, przez to nieustanne tętno: „Już!", tę rozprzeczną, tę rozjednaną z jednego dna wielość — tę roznieconą różnicę — harmonijną assymilacyją w treściwą liczbę, pod jedną postacią, jako całość ucieleśnia, i na zewnątrz, jako usamosobioną jednostkę, obliczem stawi. — —

Mając już ten etymologiczno-definicyjny- i fizyjologiczno-logiczny przez odwrotną indukcyją organizmu opis; mając już z jednego dna tę rozśliczną rozemkłość, to jedném kłem rozkłucie rzeczy, to rzeczy rozklęcie; mamy już i klucz do téj kłódki, w któréj się duch mistycznego organizmu, przemyślnie zaklął. Każda bowiem rzecz, potąd jest mistyczna, pokąd niepoznana, pokąd w jéj wewnętrzne dno jakości, jakimeś środkiem, nie wnikniemy, i czém z czego przez co, rzecz sama wynikła, niepoznamy. Rdzeń rzeczy, rdzenią wyrazu. Czego loika uczy przez kategoryje, tego gramatyka przez formy: *modus*, *casus* — i t. d.

Z tego, cośmy tu dotąd rozprzestrzenili, natrąca się pośrodkowo i ten wniosek, że etymologija, psychologija, loika, — filozofija — stanowią zasadę grammatyki, i że grammatyka, wziąwszy prawidła swoje z wyrobionego już języka narodu, który grammatykę poprzedził, dając naukom i umiejętnościom narodową mowę, dała im razem i te zasady, które grammatyce, roznmowa przymiotowość narodu, przez zewnętrzną i wewnętrzną potrzebę, koleją czasu i pokoleń — w materyję wyrobiła; — umiejętności i nauki zaś, jako późniejsze, wziąwszy tę materyję za środek do rozwiązania głębszych zadań swoich i wywodząc z nich coraz cieńsze i duchowo istotniejsze pojęcia; już przez to samo udoskonaliły mowę narodową, i saméjże grammatyce dały przez głębszą dla jéj prawideł podstawę, wyższe stanowisko. Ztąd się okazuje wzajemna zawisłość grammatyki z tą umiejętnością, którę w ogólności filozofiją zwiemy, ztąd się wyświeca potęga poznawczéj i mówczéj siły, zamieszkałéj zarodno w naturze człowieczéj. —

Mowa jestto bezpośredni utwór ducha człowieczego; człowiek czuje się być zmuszonym niezbędny ruch wewnętrzny swoich uczuć, swoich myśli, wyjawiać na zewnątrz. *„Si quis coelum ascendisset; naturam mundi et pulchritudinem siderum perspexisset, insuavem illam admirationem ei fore, quae jucundissima fuisset, nisi aliquem, cui narraret, habuisset." Cicero*

Poznawszy: że co przez czucie w naturze cielesnéj, smysłowym sposobem, istotą konieczną; to samo w naturze duchowéj człowieka sposobem pojętliwości, przez uznanie, prawdą konieczną; poznajemy, że istota jednéj prawdy, odźwierciedla się wiernie w istocie drugiej, i że te obie prawdy przez ich wzajemną zawiłość, mamy już rodzimo po sobie jednym sposobem; że organizm natury smysłowéj, odpowiadając organizmowi natury duchowéj, odpowiada organizmowi myślenia i mówienia; że jak rzeczy wié-my, tak z wiedzy naszéj zwie-my, a jak je czujemy i znamy, tak je zna-czymy i znamionujemy; poznajemy, że jedno i drugie dzieje się z jednego dna razem; bo znanie bez wiedzy, być nie może, a wiedza bez znania, wiedzą próżną, wiedzą bez treści, rzeczą bezrzeczną. Sam tylko pogląd na rzecz, bez wpatrzenia się w rzecz, do wyrzeczenia i orzeczenia rzeczy — niedostateczny.

Organizm człowieka zostając w ściśléj zawisłości z organizmem świata, sprawia, że człowiek staje się zmuszonym do poznania go i rozpatrzenia się w nim. Organizm przedsobnego świata bndząc organizm smysłów człowieczych, budzi organizm czucia, organizm czucia budząc organizm myślenia, organizuje myśl, a myśl organizując słowo przez pojęcie, organizuje ze znamion pojęcia, wziętych z istoty rzeczy przez pojęcie — znaki dla wyrazu; ztąd idzie, że jak myślenie domaga się myśli aby stało się słowem, tak słowo od myślenia domaga się urobionego znaku, aby stało się fonetycznym, miło-brzmiennym głosem, aby stało się miło uczłonkowanym dla ucha wyrażem. Człowiek ma wrodzone uczucie rytmiczności. Rozwój akordów duszy, rozwija się w tonie uczucia, a ton uczucia rozwija się w ton głosu. Tonem pojętnie urobionego głosu, pobiéra i poznaje dusza w wyrazie odbity rozwój swojéj własnéj przymiotowości. Świat tonów nie mógłby czynić na duszę wrażeń, gdyby jéj narząd, jéj organizm duchowy nie zgadzał się z ustrojem smysłowym, a ustroj smysłowy nie zgadzał się z narządem duszy świata. Dusza człowiecza nie może w inny sposób pobiérać wrażeń tonowych, jak tylko w tąki, jaki już sam stwórca w jéj uczuciu uzarodnił. Ton słowa, duszą mowy — *anima vocis*. Mowa bez tonu, chociażby miała najdoskonalsze etymologiczne, grammatyczne,

logiczne formy; byłaby mową bez duszy, byłaby mową martwą. Słowo żyjące, słowem elektrycznem. Harmonija pojęć, harmoniją uczucia wygłoszona, stanowi mowę doskonałą. Co um zsyntezować, to rozum z analizować umiał; ale przeto słoga grammatyczna, (syntax) nie jest składnią słów martwych, ani znamki słowo organizujące, nieżywémi członkami słowa. Mowa, sens żyjący: *Die Sprache hat zwei Seiten, die logische und die phonetische Seite — die Lautseite. In dem wirklichen Leben der Sprache sind jedoch diese zwei Seiten nur Eins; wie der Mensch eine Einheit von Geist und Leib, so ist das Wort die Einheit von Begriff und Laut. Betrachtet man die zwei Seiten der Sprache — die logische und die phonetische — jede für sich; so wird man eine zwiefache Entwicklung gewahr: die Sprache gestaltet sich nämlich nach der logischen Seite in Begriffsverhältnissen und nach der phonetischen Seite in Lautverhältnissen.* *)

Głos z o z w a n i a się rozmaitego człowieczego uczucia powstały, organizował już w pierwotku znania człowieczego przez refleksyją, zarod uorganizowania rozmaitéj n a z w y znaków alfabetycznych. Z pierwotkiem syntezy, rodziła się analiza; każda znamka — litera — w alfabecie, oznacza już uorganizowane brzmienie głosu i uorganizowaną formę pojęcia pod znakiem symbolicznym. Przez differencyjną jedność myśli ze słowem, i pojęcia z wyrazem, organizuje się uczłonkowanie mowy. Różne klasy, rodzaje i formy pojęć, organizują się w różne słowa i wyrazy, jedne w drugie przez drugie. Różnicę pojęć w wyrazach, oznacza różniące się urobienie głosu brzmiącego słowa, dla ucha, i też różnicę oznaczają różniące się znamki zestawione w pisanym wyrazie dla oka. — Charakter czucia i myślenia, charakterem mowy. *Qualis ipse homo esset, talem ejus orationem Socrates disserebat.* Jak w twarzy syna poznajemy twarz ojca, tak w mowie narodowéj, fizyjonomiję narodu.

W jakiéj zawiłości jest słowo z pojęciem, w takiéj grammatyka z logiką. Grammatyka uczy porządnie mówić, logika porządnie myślić. Jedno się porze z drugiego, i jedno bez drugiego nie może być w porządku. »*Dieses Bündniss musste bestehen so lange man kein Augenmerk auf die genetische Form des Gedankens und der Sprache richtete. Als aber einerseits die Logik, die Formen der Gedanken und Begriffe, und die Grammatik anderseits die Formen der Wörter und ihrer Verbindung, nur als ein* Gegebenes *auffasste, und vorzüglich die Unterscheidung der so aufgefassten Formen zu ihrer Aufgabe machte; versank die Logik eben so wie die Grammatik in einen Zustand der Starrheit. Die Logik der Schule und die Grammatik der Schule verstanden einander nicht mehr, und jede ging ihren eigenen Weg. Auch war die Logik der Schule nicht die Logik der Sprache; darum konnte die Grammatik von ihr wenig Vortheil ziehen; und man kann die Frage aufwerfen, ob überhaupt die Grammatik mehr von der Logik, oder die Logik mehr von Grammatik zu lernen habe.*«

(Mówi tenże grammatyk) *i. n. k.*

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład P i o t r a P i l l e r a) wyszedł nr. 31szy i zawiéra: 1) O rolnictwie płodozmiennem. (Ciąg dalszy). 2) Franciszka Abgarowicza: O przygotowywaniu gnoju i gnojowiskach w Hohenhejmie. (Z ryciną). (Ciąg dalszy.) 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 4) Uwiadomienie potoczne.

Ze Lwowa. Ostatni numer tutejszego »Dziennika mód« zawiéra następne uwiadomienie: »Powieść J ó z e f a D z i e r z k o w s k i e g o »*Salon i Ulica*« która z obecnym numerem w dzienniku się kończy, wyszła w osobném wydaniu. Pan J. Dobrzański, który w dzienniku mód narzekał na zbytnią drogość polskich książek i ztąd małe ich upowszechnienie, nabył i zajął się wydaniem téj powieści, mając na celu, aby dziełko jak najmniéj kosztowało. Istotnie dość spore dziełko (350 str.) kosztuje w księgarni nowéj pana Stengla, przy ulicy krakowskiéj 24 kr. m. k. na papiérze welinowym, a na papiérze zwyczajnym 20 kr. m. k. Będzieto najtańsza książka polska. Pan J. Dobrzański nabywa i inne historyczne i beletryczne dzieła od autorów, i zamierza daléj dostarczać podobnie tanich a nawet tańszych książek. Rzecz ta może być niemałéj wagi w księgarstwie polskiém, gdyż dotąd dla wysokich cen należało do zbytkowych wydatków kupować książki polskie.«

Niedawno wyszło tu »*Wspomnienie o Władysławie Warneńczyku*, na obchód czwartéj stoletniéj rocznicy skonu jego pod Warną dnia 10 listopada 1444 roku, czytane na publiczném posiedzeniu zakładu naukowego imienia Ossolińskich, dnia 12 października 1844, przez S t a n i s ł a w a P r z y ł ę c k i e g o« w 8ce str. 35.

N a j w i ę k s z y w y n a l a z e k t e r a ź n i e j s z o ś c i. Nie dawno jeszcze uważano pomysł połączenia głównych punktów ziemi drucianą siecią elektro-magnetycznéj telegrafiki, którąby jak system nerwowy ziemi, tego ciała ludzkości, wszystkie ruchy każdego pojedynczego członka prawie w jednéj i téjże saméj chwili do ogółowéj świadomości całego ciała podawała — za mrzonkę fantastyczną, za niedorzeczność. Wszakże w ostatnich czasach zawiązało się w Londynie towarzystwo, które tę niedawno wyśmianą niedorzeczność nie tylko rzeczywiście w praktykę zaprowadzić usiłuje, lecz nadto ni mniéj ni więcej zamierza, jak właśnie założyć uniwersalną gazetę, któraby jednocześnie w najgłówniejszych miastach świata wychodziła. Oto zachowywana przy tém maszynerya, gdyż i to literacko-polityczne przedsiębiorstwo na maszyneryi już stoi: Główny redaktor w Londynie gra na instrumencie, podobnym do fortepianu, a w téjże saméj minucie sekretarz jego w dalekiém mieście, np. w Augsburgu, wydobywa z korespondencyjnéj machiny nadzwyczajnie długi, jedynym wiérszem odrukowany pas papiéru, który na przeciwieństwo naszych dzisiejszych, w coraz większą szerokość tyjących dzienników, wokoło wązkiego walca się zwija. Po Londynie następuje z kolei Paryż, Berlin, Hamburg, i t. d., a tak w godzinie, wszystkie stolice wymieniają z sobą swe korespondencyje. Cały mechanizm przy używaniu owych aparatów korespodencyjnych jest nadzwyczajnie prosty, i bez wszelkiéj poprzedniéj wprawy, może każden wiadomości swoje w jakimkolwiek języku komunikować. Jakoż czyniono już przekonywające doświadczenia w téj mierze.

C e l i z n a c z e n i e m o w p o g r z e b o w y c h. Niedawno odbył się w Paryżu pogrzeb sławnego pisarza Aimé-Martin, konserwatora biblijoteki Sainte-Genevieve, przyjaciela Lamartina, który nad jego grobem miał mowę, i tak we wstępie do niéj o celu i znaczeniu podobnych mów się wyraził: »Nigdy jeszcze nie przemawiałem w obliczu trumny, kiedy człowiek tą bramą do nieśmiertelności wstępuje. Zdaniem mojém nie powinien mu wtedy towarzyszyć żaden gwar ziemski, prócz szelestu kroków jego przy-

*) Mówi jeden z najnowszych gram. niemiec.

jaciół, którzy go do tego progu odprowadzają. Między obojem życiem, z których jedno się rozpoczyna, a drugie nad krawędziem tego dołu się kończy, leży przepaść, której żadna mowa ludzka przeskakiwać nie powinna. U tego pogranicza nieskończoności wydaje się wszystko drobnem, nawet co największem w człowieku było, to jest: jego skłonności i ci rpienia. Zamilknijmy więc, spoglądając na wieczystą stronę tego grobu. Wszakże zwracając wzrok ku jego stronie ziemskiéj, opowiedzmy pozostałym, kto był ten człowiek, któregośmy tu pogrzebali; czém on był w powszechném poważaniu spółczesnych, w życzliwéj pamięci swojego wieku, w nieukojonym żalu swoich przyjaciół.«

Zamysł wielkiéj kolei żelaznéj w Rosyi. Postanowieniem cesarza Mikołaja mają trzy stolice cesarstwa i królestwa Polskiego połączone być ogromną koleją żelazną, któréj punktem wyjścia byłaby Warszawa, punktem środkowym Moskwa, a ostatecznym kresem Petersburg. Kierunek nie jest jeszcze dokładnie oznaczonym. Są dwa plany w téj mierze. Według pierwszego zostałyby twierdze polskie Warszawa, Modlin, i Brześć Litewski jedną koleją połączone. Taż linija szłaby daléj na Smoleńsk do Moskwy, a ztamtąd do Petersburga. Według drugiego planu biegłaby kolej żelazna z Warszawy wprost na Siedlce do Brześcia Litewskiego, a daléj na Smoleńsk i Moskwę do Petersburga. W tym drugim razie oszczędziłoby się wiele kosztów, a wyż wspomnione twierdze polskie musiałyby się bocznemi kolejami z główną połączyć. Na każdy wypadek byłby główny dworzec kolei w Warszawie na Pradze, po prawym brzegu Wisły. Kraj przez któryby ta wielka kolej biegła, jest w ogólności równym i nie stawia przeszkód budowie. Należy się więc spodziewać, iż przedsięwzięcie sporoby postępowało. A tak za kilka lat możnaby z Moskwy lub z Petersburga nieprzerwanym ciągiem kolei przez Niemcy i Francyję aż do śródziemnego morza podróż odbywać.

Postrachem młodych autorów francuzkich jest niejaki pan Le Bigna, rodzaj antykwaryjusza i literackiego konduktora pogrzebowego. Skoro który księgarz stosu niepokupnych książek pozbyć się pragnie, natychmiast pan Le Bigna, bez względu na imię autora, cały nakład, po 50 centymów od tomu zakupuje. W skutek swoich rozległych stosunków handlowych z kramarzami, przekupkami, trafikantami, przedsiębiorcami małych czytelni w miastach prowincyjonalnych całéj Francyi a nawet kolonij francuzkich, rozsyła on swój towar do bardzo praktycznego użytku po całym francuzkim świecie, któreto upowszechnienie jednak i użyteczność bynajmniéj próżności autorskiéj nie pochlebia. Jeżli więc imię jakiegokolwiek autora w katalogu naszego antykwaryjusza postanie, zaraz akcyje jego, kupieckim sposobem mówiąc, o 50, a reputacyja i szacunek u spółkolegów przynajmniéj o 75 procentu spadają. Niech tedy autor z swoim nakładcą spór rozpocznie, a potrzeba tylko przesłania kilka egzemplarzy jego dzieła ze strony nakładzcy do składu antykwaryjusza, aby sławę autora na ciężki szwank narazić. Zkąd też, gdy coś podobnego się zdarzy, sam autor lub jego przyjaciele, dla ochronienia od hańby, skazane na to zelżywe wygnanie egzemplarze po najwyższéj cenie wykupnują. Co więcéj, sam pan Le Bigna bywa niekiedy tak złośliwym, iż tytuł téj lub owéj książki na najwidniejszém miejscu w sklepie swoim przylepia, co oczywiście uwagę wszystkich interesowanych w tém stron na siebie zwraca, i do korzystnych dla antykwaryjusza układów je zniewala.

Krzywa rzéka. W liście z Matamoras czytamy następujące opisanie rzéki Rio Grande. Wystawmy sobie cztéry najkrzywsze rzeczy w świecie, potém wystawmy sobie inne cztéry, jeszcze dwa razy tak krzywe, a wreszcie wystawmy sobie wielką rzékę, trzy razy tak krzywą jak wszystkie owe rzeczy razem wzięte, a będziem miéć lekkie wyobrażenie o krzywości téj niesłychanie krzywéj rzéki. O statkach nie może tam być ani mowa; jest nawet mało wężów w téj rzéce, ponieważ niezliczone jéj przeguby w pływaniu im są przeszkodą, a ryby zatrzymują się w wirach zakrzywień, z których drogi znaleźć nie umią. Niekiedy probują ptaki przelecieć przez tę rzékę, lecz zawsze wracają na tenże sam brzeg nazad, ponieważ zbyt liczne zakręty rzéki wzrok im zawracają.

Reforma sceny dramatycznéj i zegarów w Rzymie. Luigi Domeniconi, na czele słynniejszych artystów scenicznych rzymskich, przedłożył jego świątobliwości, papieżowi Piusowi, plan do zreformowania teatru włoskiego, dążący głównie do tego, aby mianowicie w dramacie tłumaczenia zagranicznych utworów powoli wyrugować, i godny repertoarz narodowy utworzyć. W tym celu mają autorowie włoscy znaczne premija miéć wyznaczone. Papież zatwierdził z radością ten plan, i pozwolił aby zawiązane przez Domeniconi'ego towarzystwo artystów dramatycznych »rzymskiem« się nazywało. W przeciągu dni kilku zebrano drogą subskrypcyi przeszło 9000 skudów na poparcie tego użytecznego przedsięwzięcia. Druga reforma, dotycząca sposobu liczenia czasu, będzie osobliwie dla bawiących w Rzymie cudzoziemców dogodną. Aż dotąd bowiem był w Rzymie starodawny zwyczaj dzielenia doby na 24 godzin, licząc pierwszą godzinę od zachodu słońca; co długiéj wymagało wprawy, zanim ktoś obcy z łatwością mógł zrozumiéć, co np. 17ta godzina znaczy. Teraz został ten uciążliwy sposób liczenia czasu zniesiony, i nakazano, aby wszystkie publiczne zegary zwyczajnym europejskim trybem urządzono.

Namiętność kradzieży. Młoda dwudziestodwuletnia dama z Nowego Jorku, posiadająca pół milijona dolarów majątku, i bardzo ukształcona, została właśnie w téj chwili na gorącym uczynku schwytana, gdy w sklepie pewnéj modniarki szarfę kradła. Przedsięwzięte w jéj mieszkaniu poszukiwania wykryły mnóstwo oddawna skradzionych rzeczy. W dużym umyślnie na to urządzonym pokoju leżały w bezładzie: damskie trzewiki, wachlarze, peleryneki, mankiety, suknie męzkie, krawaty, hawidełka porcelanowe, serwety, sukno, różne przybory toaletowe, damskie i męzkie zegarki, pistolety, sztylety, noże, i tysiączne inne przedmioty. Na zapytanie, co ją do tych kradzieży skłaniać mogło, odpowiedziała, iż częstokroć, zwłaszcza na nowiu, czuje niepowstrzymany pociąg do złodziejstwa, i mimo najmocniejszych postanowień, nie może się w tém przemódz. Co udowadniając, pokazała jedwabną chustkę do nosa, którą podczas przetrząsania jéj domu jednemu z obecnych urzędników z kieszeni wyciągnęła. — W skutek dalszego śledztwa wykryło się, iż oskarżona już od lat sześciu swojéj osobliwszéj namiętności się oddawała, lubo nikt tak pięknéj, ukształconéj i majętnéj damy w podejrzeniu miéc nie śmiał.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.